

Wojna polsko-czeska | Lewica się zlewa | Smarzowski o narodowej niepamięci
Młodzi kochają poliamorię | Young Leosia rządzi | Zdrowa otyłość?

TYGODNIK, nr 41 (3333), 6.10–12.10.2021, cena 8,50 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
© AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

Stan wyjątkowej podłości

Czy ochrona granic państwa
wymaga łamania granic
moralności

s. 6, 12

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 3,60 EURO



Mała Irakijka wywieziona przez SG z Michałowa w kierunku Białorusi

Wszystkie twarze niemieckiej Rzeszy

POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 5/2021 Cena 25,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

Dzieje Niemców

Historia aż nazbyt bogata

• Od Germanów i Ottonów do Angeli Merkel • Trzy Rzesze, trzy republiki
• Cesarze, królowie, kanclerze • Humanści i zbrodniarze • Triumfy i traumy

Do kupienia
w dobrych kioskach
i na sklep.polityka.pl

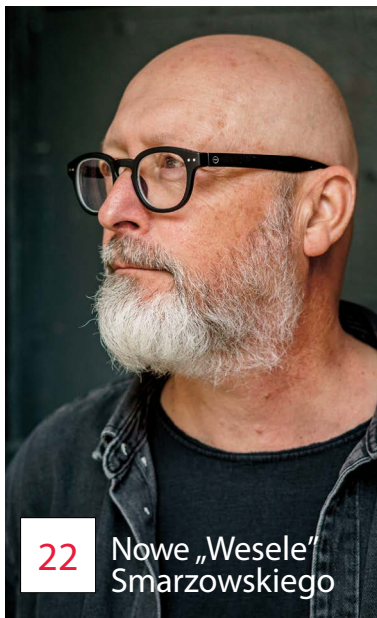


Kup książkę

16

Wojna
polsko-czeska

22

Nowe „Wesele”
Smarzowskiego

28

Polizwiązki



Temat tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
**Stan wyjątkowej obłudy:
co się dzieje z uchodźcami
na granicy**

Polityka

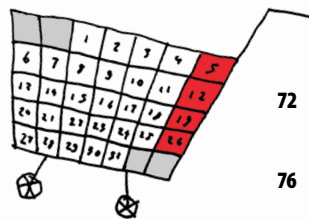
- 16 Zbigniew Borek
**Czechów nie obsługujemy
– reportaż z Bogatyni**
- 19 Rafał Kalukin
**Nowa Lewica – prywatny projekt
Włodzimierza Czarzastego**
- 22 ROZMOWA POLITYKI
Wojciech Smarzowski o swoim
najnowszym filmie „Wesele”,
o rządach PiS, wybielaniu historii,
niepamięci i ułomnościach Polaków
- 26 Janusz A. Majcherek
OGLĄD I POGLĄD
Punktoza zabija naukę

Społeczeństwo

- 28 Norbert Frątczak
Dziewczyny moich chłopaków
- 31 Joanna Cieśla
**Dlaczego psychologowie
nie pracują w zawodzie**
- 34 Klementyna Suchanow
Grzegorz Rzeczkowski
**Ordo liris: wsparcie
z Kremla?**
- 37 Rozmowa z wójtem Izabelina
Dorotą Zmarzłak o tym,
jak rządzić podmiejską gminą
i zaangażować jej mieszkańców

Rynek

- 40 Cezary Kowanda
**Bitwa o handel
w niedziele**
- 43 Marcin Piątek
**Trudny rynek
sportowych transmisji**



Świat

- 46 Adam Krzemiński NIEMCY
Układanki po wyborach
- 49 Aleksandra Lipczak HISZPANIA
**Młodzi tęsknią za tym,
co było**
- 52 Tomasz Zalewski USA
**Tucker Carlson: medialny guru
amerykańskiej prawicy**
- 54 Tomasz Maćkowiak CZECHY
Pirat Bartosz ratuje kraj

Nauka i cywilizacja

- 56 Jędrzej Winiecki
Dokąd odleciały bociany?
- 59 Paweł Walewski
Czy otyłość może być zdrowa

Historia

- 62 Rozmowa z **Ludwiką Wujec**
o tym, jak się rodził KOR
i jak to wyglądało z perspektywy
życia codziennego
- 65 Jerzy Besala
**Pojedynek hetmanów:
jak Chodkiewicz
z Radziwiłłem wojował**

Kultura

- 72 Piotr Sarzyński
**Muzea sztuki współczesnej:
kto liderem, kto outsiderem**
- 76 Michał Klimko
**Young Leosia:
nowa ikona młodych**
- 80 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 82 Justyna Sobolewska
**Fenomen queerowych romansów
– Casey McQuiston**
- 84 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk

Na własne oczy



- 92 Piotr Sarzyński
Miejskie święta światła

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz
- 86 Chutnik i Plebanek • 87 Hartman
- 88 Passent • 90 Mizerski na bis
- 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Łopaty dobrego humoru

Kontrolowana przez Zygmunta Solorza Telewizja Polsat pokaże dokumentalny serial opowiadający o wielkim wyburzaniu należącej do tego biznesmena elektrowni węglowej Adamów. „Ciężka praca i spektakularne akcje na placu wyburzeniowym będą przeplatać się z dobrym humorem i codziennym życiem naszych bohaterów” zapowiadają twórcy, obiecując, że nie zabraknie w nim sytuacji „trzymających w napięciu, często niebezpiecznych”.

Uważam, że TVP też powinna postawić na wielkie produkcje opowiadające o burzeniu. Zwłaszcza że tematów związanych z budowaniem brakuje; w ostatnich latach, mimo hucznych zapowiedzi, za wiele nie zbudowano. Nie ma mieszkań z programu mieszkanie plus, fabryki samochodów elektrycznych, nie zbudowano Muzeum Bitwy Warszawskiej ani łuku triumfalnego nad Wisłą. A jeśli idzie o prom ze Stoczni Szczecińskiej, jest wprawdzie stępka, ale zapomniano dobudować do niej resztę. O powstaniu samej stępki nawet pisowska TVP nie da rady nakręcić kilkunastoodcinkowego serialu, chociaż może się myśle. Co nie znaczy, że pod rządami PiS nic się nie buduje. Zbudowano masę rond im. Marii i Lecha Kaczyńskich, ruszyła budowa muru z drutu kolczastego na granicy polsko-białoruskiej.



Powstaje także Centralny Port Komunikacyjny, chociaż boję się, że oglądając serial na ten temat, można by umrzeć z nudów ze względu na brak akcji. Owszem, można zaprezentować sylwetkę pełnomocnika rządu ds. CPK, posła Horałę w jego gabinecie, ale żeby taki materiał zainteresował widzów, trzeba by go co chwilę przerywać reklamami.

Jedynymi naprawdę trzymającymi w napięciu momentami byłyby widowiskowe sceny, w których Horałę pobiera kilkudziesięciotysięczną pensję i okolicznościowe nagrody. Na widok takich pieniędzy widzom z pewnością skoczyłoby ciśnienie. Serial można by też ratować, angażując prezesa Kaczyńskiego do sceny wbijania pierwszej łopaty.

Na oglądanie prezesa pracującego łopatą chętnych nie zabraknie. Jego udział uatrakcyjniłby widowisko i wprowadził nastrój grozy, bo widz nie byłby pewien, czy prezes nie zrobi sobie łopatą krzywdy.

Niewykluczone, że po wbiciu pierwszej łopaty prezes PiS rozkręciłby się i wbił kolejne, co posunęłoby akcję do przodu, pozwoliło nakręcić więcej odcinków i dobrać jakoś do końca pierwszego sezonu.

Panuje opinia, że prezes z łopatą jest bardzo śmieszny, ale uważam, że w serialu o budowie CPK dobrego humoru powinno być znacznie więcej. To zresztą nic trudnego, zważywszy że poseł Horałę, z uwagi na wysokość swojej pensji, cały czas jest w dobrym humorze. Nie wiem tylko, czy prezentowany przez Horałę rodzaj humoru będzie w stanie polskich widzów rozbawić.

Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji - kraju golfu, potwora z Loch Ness i wojowników w kraciastych spódnicach.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa - Edynburg. Przejazd autokarem do Glasgow. Dz. 2 Glasgow - St. Andrews - Aberdeen. Średniowieczne ruiny zamku St. Andrews, uniwersytet i pole golfowe. Dz. 3 Aberdeen - Speyside - Park Narodowy Cairngorm. Wizyta w destylarni whisky. Dz. 4 Park Narodowy Cairngorms - Inverness - Loch Ness - Fort William. Poszukiwanie potwora z Loch Ness, zwiedzanie zamku Urquhart. Dz. 5 Wycieczka na wyspę Skye, zamek Armadale, Portree i pomnik jakobitów w Glenfinnan. Dz. 6 Fort William - Edynburg. Spacer przyrodniczy po Parku Narodowym Glencoe i wizyta w zamku Inveraray, jezioro Loch Lomond. Dz. 7 Wycieczka po Edynburgu. Stare i Nowe Miasto, popołudnie do własnej dyspozycji. Dz. 8 Powrót do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 16/06 2022 | **6.998,-**



WYKŁAD
ONLINE



Rejsy po Sekwanie i Dunaju

30/09/21 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Rejs ekspedycyjny z Ziemi Ognistej do Santiago de Chile

Niezwykła wyprawa wzdłuż wybrzeża Patagonii oraz Chile: przez Kanał Beagle, wokół przylądka Horn, przez sławną Cieśninę Magellana aż do chilijskich fiordów.

Naszą przygodę rozpoczniemy od zwiedzania Buenos Aires, a następnie 5-gwiazdkowy statek Ocean Victory zabierze nas z Ushuaia w niesamowity rejs do najpiękniejszych rejonów świata, śladami Darwina i Magellana. W drodze między górami lodowymi Ziemi Ognistej a Santiago de Chile towarzyszyć nam będą pingwiny, lwy morskie, ogromne albatrosy i wiele innych gatunków ptaków. Z pokładu statku będziemy podziwiać ogromne lodowce, archipelagi wysp oraz zapierające dech w piersiach krajobrazy chilijskich fiordów. Podczas wycieczek na staty łód odwiedzymy słynne parki narodowe jak np. P.N. Torres del Paine czy P.N. Ziemi Ognistej oraz dotrzemy do odciętych od świata miejsc jak np. miasteczko Puerto Eden, do którego można się dostać tylko od strony morza. Zobaczymy też jeden z największych skarbów chilijskiej kultury - sławne drewniane kościoły w Chiloé wpisane na listę UNESCO. Na koniec dotrzemy do Valparaíso z kolonialną zabudową również wpisaną na listę UNESCO, kończąc naszą przygodę w Santiago de Chile.

20 dni | Wylot z Warszawy 16/03 2022 | **34.998,-**

W poszukiwaniu Tajemnic Majów - od Panamy do Gwatemali

Jedna wyprawa - moc atrakcji! Zwiedzanie Panamy, Kostaryki, Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali. Piękno przyrody i fascynująca cywilizacja Majów.

Specjalnie dla naszych gości wybraliśmy najciekawsze atrakcje w 6 krajach Ameryki Środkowej, łącznie je w jedną niezwykłą wycieczkę. Zobaczymy Kanał Panamski - wspaniałe osiągnięcie techniki inżynierskiej oraz Panama City, gdzie nowoczesne drapacze chmur sąsiadują ze starą kolonialną zabudową. Odwiedzimy plantacje kawy i czekolady oraz największą atrakcję Kostaryki czyli P.N. Tortuguero z rezerwatem żółwi zielonych. Spacerując po wiszących mostach wśród lasu deszczowego, położonego u stóp wulkanu Arenal, dostrzeżemy liczne gatunki ptaków i zwierząt, zamieszkujących te tereny. Punktem kulminacyjnym naszej wyprawy będzie zwiedzanie imponujących pozostałości miast Majów, wpisanych na listę UNESCO: Copán, Quirigua i najlepiej zachowany Tikal z najwyższymi piramidami, wspaniałymi świątyniami i pałacami. Tutaj zanurzymy się w świat tej fascynującej cywilizacji, poznamy ich styl życia, wierzenia i obrzędy. Podróż zakończymy rejsem po jeziorze Atitlán.

19 dni | Wyloty z Warszawy 09/03, 23/11 2022 | **19.998,-**

Rezerwuj bez ryzyka - Gwarancja Bezpieczeństwa Albatros przy rezerwacji do 31 października 2021! Możliwość bezkosztowej anulacji i zwrot wpłaconej zaliczki lub zmiana rezerwacji na inną podróż. A to wszystko do 60 dni od założenia rezerwacji! Szczegóły na www.albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107
Kod reklamy: PL36

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

#WspomnieniazAlbatrosem



Gdzie jest granica?



Jerzy Baczyński

Opozycji zaczyna brakować słów, bo ile razy można mówić o wstydzie, hańbie, kłamstwie, okrucieństwie. Przykro było słuchać długiej sejmowej debaty (?) w sprawie – i tak już przesądzanego – przedłużenia stanu wyjątkowego. Pytania, gdzie podziały się dzieci wywiezione przez polską straż graniczną z Michałowa w stronę granicy z Białorusią, były przez polityków PiS ignorowane lub zbywane pogardliwymi okrzykami. Prowadzący obrady (?) marszałek Terlecki co chwila kpił z posłów opozycji, próbujących ustawić przed kamerami zrobione w Michałowie zdjęcie małej irańskiej dziewczynki przytulającej misia, dramatyczny symbol bezduszności, pokazowej, popisowej twardości polskiego państwa wobec „nielegalnych imigrantów”. Kiedy w redakcji oglądaliśmy tę fotografię, ktoś zauważył, że może dla Mariusza Kamińskiego dziewczynka z misiem to zoofilka. Okrutny żart, ale też dowód bezradności wobec spektaklu, jaki w minionym tygodniu urządzili ministrowie obrony narodowej i spraw wewnętrznych, demonstrując zdjęcia, podobno znalezione w telefonach uchodźców, które miały sugerować, że są oni terrorystami, agentami, zboczeńcami. Wyświetlenie ledwo rozmazanego zrzutu ekranowego przedstawiającego rzekomy akt zoofilny to już było przekroczenie nie tylko norm prawnych, zakazujących rozpowszechniania takich obrazów, ale i jawna manipulacja, bo jak szybko ustalili dziennikarze OKO.press, konstytucyjni ministrowie rządu RP sięgnęli po od dawna obecny w internecie kadr z jakiegoś hardcorowego filmu pornograficznego. „Wstyd” to rzeczywiście za mało. Nie dziwię się, że po tej konferencji prasowej (?) tak wiele osób miało skojarzenia z antysemicką propagandą nazistowską.

Pytanie, dlaczego „oni” to robią, jest retoryczne: bo sięganie po najgorsze, najbardziej prymitywne emocje i stereotypy jest wydajne politycznie, bo podoba się twardemu, zwłaszcza męskiemu elektoratowi prawicy, chętnie odnoszącemu się do ciapatych i „kozo...ców”. Kamiński nie dosiadłby tej kobyły (zwierzę na ekranie nie było krową, jak ekscytowała się przez dwa dni TVP, lecz kłaczą), gdyby nie wiedział, że pociągnie ona sondaże PiS. Od początku tzw. nowego kryzysu uchodźczego notowania PiS wzrosły o kilka punktów, straszenie najazdem tysięcy muzułmanów okazało się dla partii bardziej skuteczne niż cały tzw. Polski Ład, czyli nieludsko skomplikowana reforma podatkowa, właśnie przepchnięta przez Sejm. Kiedy przed miesiącem wprowadzano po raz pierwszy stan wyjątkowy, wszystkie niezależne polskie media zgodnie zaproteowały przeciwko nieuzasadnionemu zakazowi pracy dziennikarzy w strefie nadgranicznej. Argument, że grozi tam militarna prowokacja ze strony żołnierzy rosyjskich i białoruskich odbywających manewry Zapad, już zresztą okazał się humbugiem. Ostrzegaliśmy, że władze pozbawione jakiejkolwiek kontroli medialnej i społecznej mogą posuwać się do łamania prawa (co widzieliśmy choćby w Michałowie) czy urządzania prowokacji. Przecież opowieści panów Błaszczaka i Kamińskiego o znalezionych przypadkowo w mchu kartach SIM czy fotografiach na smartfonach są kompletnie niewiarygodne, bo nie do zweryfikowania. Mariusz Kamiński, atakowany za zoofilski spektakl, tłumaczył się w Sejmie, że władze muszą przecież ostrzec Polaków przed „potencjalnymi zagrożeniami”; to cudowna formuła, bo przecież uchodźcy mogą „potencjalnie” przenosić nie tylko pasożyty, ale np. narkotyki, kindżały, broń

atomową, cokolwiek. Władza, dzięki stanowi wyjątkowemu, ma dziś wyjątkowy komfort zastraszania Polaków.

Sondaże (choćby niedawny IPSOS) pokazują, że skutecznie: większość obywateli (52 proc.) popiera obecną politykę władz, polegającą na wypychaniu migrantów z powrotem na Białoruś. Wśród zwolenników twardej ręki dominują tradycyjni wyborcy PiS – czyli osoby z wykształceniem podstawowym, starsi, mieszkańcy wsi – oraz miejski i wiejski, głównie młody i męski, elektorat Konfederacji. To by nawet nie dziwiło; jednak analitycy wskazują także na nowe zjawisko: otóż w stronę PiS przesunęło się stosunkowo dużo kobiet, które odwróciły się od tej partii po wprowadzeniu całkowitego zakazu aborcji. Czyli ponownie udało się w Polsce zaszczepić lęk, naruszyć elementarne poczucie bezpieczeństwa. Propagandowy majstersztyk, zważywszy na wciąż znikomą realną liczbę migrantów „szturmujących” granicę wschodnią. Eksperti mówią, że oficjalne dane o próbach przekraczania granicy są zapewne znacznie zawyżone, bo te same osoby mogą być liczone wielokrotnie (a i tak większość tych, którzy przechodzą, odnajduje się potem w Niemczech). Wciąż więc mamy do czynienia na granicy przede wszystkim z politycznym spektaklem. Trudno się oprzeć wrażeniu, że korzystają na tym obie strony: opowieści polskiego rządu o „potencjalnych” dziesiątkach tysięcy migrantów czyhających na Białorusi uwiarygadnia naciski Łukaszenki na Unię Europejską; dla PiS z kolei oznacza sondażową premię strachu. Reżim białoruski (za którym, jak podkreślają politycy PiS, stoją Rosjanie) musi widzieć, że swoją „wojnę hybrydową” wzmacnia antyunijną władzę PiS – i chyba nie ma nic przeciwko temu.

Smutne, że po raz kolejny i tak łatwo większość Polaków przyjmuje i usprawiedliwia tę pisowską narrację. Przejmująco pisze o tym Ewa Siedlecka (proszę przeczytać jej artykuł, nawet gdyby to miał być jedyny tekst z tego numeru); o mrocznych, wypieranych w niepamięć, stronach polskiej duszy mówi też w wywiadzie Wojciech Smarzowski, którego film, nowe „Wesele”, za moment znacznie wściekać „prawdziwych patriotów”. Ta władza – przestrzegamy i będziemy powtarzać w kółko – wydobywa i hoduje najgorsze cechy i uprzedzenia Polaków: ksenofobię, homofobię, antysemityzm, bigoterię, rasizm (eufemistycznie określane jako odrzucenie osób obcych kulturowo), egoizm, któremu kiedyś Kaczyński, a teraz Morawiecki nadają parareligijną nazwę „ordo caritatis”, czyli porządku miłosierdzia. Ku zgrozie prawdziwych teologów ewangelia w pisowskiej interpretacji oznaczałaby nakaz dbania przede wszystkim o siebie i najbliższych parę osób. W tej wizji nie istnieje wspólnota, nie ma miejsca na bezinteresowność, praktyczną solidarność, ofiarność, współczucie, ma być – jak w słynnej teorii prof. Stefana Nowaka o polskiej próżni socjologicznej – na dole wyidealizowana Rodzina, na górze idealny Naród reprezentowany przez jedną partię. A pomiędzy – bierność, obojętność, pustka. Takim społeczeństwem chce rządzić PiS. I tylko takim może rządzić.

Jan Koza



© JAN KOZA

Co może PCK

Polski Czerwony Krzyż musi natychmiast przystąpić do działania na pograniczu polsko-białoruskim, nieść pomoc humanitarną przechodzącym do Polski i poszukiwać zaginionych – uważają uczestnicy ostrzegawczego **strajku okupacyjnego w centrali PCK**. – Żądamy partnerstwa takiego, jakie jest na Litwie między Litewskim Czerwonym Krzyżem a tamtejszą strażą graniczną – mówi Rafał R. Suszek z komitetu protestacyjnego.

Prezes PCK Jerzy Bisek funkcję pełni od 25 września i rozkłada ręce: – Możemy zrobić tyle, na ile pozwalają przepisy prawa oraz nasze możliwości operacyjne. Zwróciliśmy się do rządu o prawo stałego wejścia do potrzebujących, dwukrotnie do Usnarza Górnego i raz na obszar objęty stanem wyjątkowym. Dwukrotnie nam odmówiono, czekamy na odpowiedź na trzeci list. MSWiA nie chce kogokolwiek z zewnątrz na obszarze objętym stanem wyjątkowym, twierdzi też, że grupa w Usnarzu znajduje się po białoruskiej stronie. PCK prowadzi rozmowy z ministerstwem o uzyskanie zgody na wejście do placówek, w których przebywają rodziny migrantów z dziećmi. Prezes Bisek jest przekonany, że PCK zgodę niebawem otrzyma i objaśnia, że takie postępowanie



jest zgodne z czerwonekrzyżskimi zasadami. W przypadku konfliktu zbrojnego czy katastrofy naturalnej ruch niesie pomoc za zgodą walczących stron albo kierującego akcją ratunkową, inaczej działa na zapleczu.

Równolegle protestujący – którzy zakładają, że sytuacja ma charakter starcia hybrydowego – zwrócili się z apelem

do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie, organizacji zajmującej się wyłącznie sprawami związanymi z konfliktami. Odpowiedzi jeszcze nie dostali.

Stanowisko zajęła z kolei regionalna delegatura Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca: – Uznała postulaty protestujących za nie do przyjęcia, bo wychodzą poza kompetencje PCK – mówi prezes Jerzy Bisek. – Federacja nie jest zwierzchnikiem krajowych stowarzyszeń Czerwonego Krzyża, zajmuje się przede wszystkim koordynacją naszej pracy, np. między PCK i Białoruskim Czerwonym Krzyżem, obecnym na granicy od drugiej strony. Ich przedstawiciele u grupy z Usnarza byli trzykrotnie, dostarczyli jej m.in. śpiwory, żywność i materiały medyczne. Oferowaliśmy wsparcie, ale dotąd BCK go nie potrzebował, korzysta z własnych zasobów.

W związku z tymi ograniczeniami PCK uruchomił właśnie punkty dla migrantów obecnych po polskiej stronie, którzy z obawy przed zatrzymaniem nie chcą się ujawnić i przez to np. błądzą się po lasach. – W Białej Podlaskiej, Hajnówce, Białymstoku, Sokółce i Suwałkach tworzymy magazyny najpotrzebniejszych rzeczy. Proponujemy współpracę gminom, lokalnym OSP i fundacjom, ale na razie odzew jest niezbyt silny – stwierdza Jerzy Bisek. (WIN)

Studia w pandemii

Jesienna fala covidu powoli przybiera na sile. Od końca września w codziennych raportach Ministerstwa Zdrowia pojawia się ponad 1 tys. nowych infekcji, które według resortu nie oznaczają jeszcze osiągnięcia momentu, w którym należy „myśleć o restrykcjach, a tym bardziej o lockdownie”. W tych zmieniających się okolicznościach na zajęcia wróciło 1,2 mln studentów i studentek. MEiN rekomendowało realizowanie zajęć stacjonarnie, ale ostateczne decyzje co do trybu pozostawiło rektorom. Resort zalecał szczepienia, choć decyzji o tym, by były obowiązkowe dla wszystkich wykładowców, nie podjęto. Z internetowych ankiet przeprowadzonych na największych uniwersytetach w Polsce wynika, że zaszczepiło się ponad 80–90 proc. studiujących i prowadzących zajęcia.

Władze Uniwersytetu Warszawskiego zdecydowały się na zajęcia stacjonarne, dopuszczając pewne wyjątki; mają o nich decydować poszczególne wydziały. Na zajęciach obowiązkowe będą maseczki, ale tylko dla studentów. Jednocześnie wewnętrzne przepisy na UW dają wykładowcom możliwość decydowania o tym, na których zajęciach będzie trzeba zakrywać usta i nos.

Na hybrydową formę postawił Uniwersytet Jagielloński: wykłady dla



ponad 25 osób będą w formie zdalnej, pozostałe zajęcia zostaną zorganizowane stacjonarnie. Podobnie na **Politechnice Warszawskiej**, Uniwersytecie Gdańskim czy Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie zajęcia online będą dla grup powyżej 30 osób. W salach dydaktycznych trzeba zachować 1,5 m dystansu; maseczki są wymagane na korytarzach, w bibliotekach, ale nie podczas zajęć.

Pomorski Uniwersytet Medyczny i Uniwersytet Szczeciński wprowadziły ankiety epidemiologiczne. Przed rozpoczęciem każdego zajęcia ich uczestnicy muszą wypełnić internetowy formularz, odpowiadając na pytania o aktualny stan zdrowia, ewentualne objawy choroby i kontakt z osobami zarażonymi wirusem SARS-CoV-2. Jeśli ktoś ankiety nie wypełni, nie zostanie

wpuszczony na zajęcia. Egzekwowaniem tych zasad będą obciążeni wykładowcy.

Największe ośrodki uniwersyteckie wycofały się z pomysłu, by w akademikach mogli mieszkać tylko zaszczepieni na Covid-19. Zamiast tego niektóre uczelnie wymagają oświadczeń o nieposiadaniu objawów zakażenia koronawirusem lub wyników testów na jego obecność.

Powrót do sal dydaktycznych po niemalże trzech semestrach zdalnego studiowania będzie obwarowany wieloma restrykcjami i obciążający zarówno dla wykładowców, jak i studentów. Ci ostatni, jeśli wierzyć poruszeniu w mediach społecznościowych, sądzą, że wracając na kampusy na krótko, do momentu, w którym zakażenia znowu mocno wzrosną, i wróci nauka zdalna. Już czwarty semestr. (AGSZCZ)



Ponad 280 mln zł

– czyli, jak sztydą internauci, **4 Sasiny** (jeden Sasin = 70 mln zł). Tyle pieniędzy według wycień Najwyższej Izby Kontroli zostało wydanych „niezgodnie z przepisami, niecelowo, niegospodarnie lub nierzetelnie” przez Fundusz Sprawiedliwości, którego dysponentem jest podlegające Zbigniewowi Ziobrze Ministerstwo Sprawiedliwości. Zadaniem FS jest udzielanie pomocy pokrzywdzonym, pomoc postpenitencjarna i przeciwdziałanie przyczynom przestępczości. Tymczasem, jak wyczyli kontrolerzy NIK, z 681,4 mln zł dotacji przyznanych ze środków Funduszu w okresie objętym kontrolą (od połowy 2017 r.) jedynie 228,5 mln zł, czyli 34 proc. przeznaczono na pomoc świadczoną bezpośrednio osobom pokrzywdzonym przestępstwem, a 24,2 mln zł (4 proc.) – na pomoc postpenitencjarną. Kontrolerzy NIK skale nieprawidłowości w FS określili jako „bezprecedensową”. Wskazywali m.in., że w ramach Funduszu:

- **140,8 mln zł** przeznaczono na Ochotnicze Straże Pożarne, ale sprzęt dla nich rozdysponowano „w sposób uznaniowy” i bez związku „z danymi dotyczącymi liczby wypadków komunikacyjnych na terenie działalności poszczególnych OSP”.

- **ponad 43 mln zł** przekazano Fundacji Profeto ks. Michała Olszewskiego, byłego egzorcysty, z czego na „faktyczną pomoc” ofiarom przeznaczono tylko 6,8 proc. całej dotacji.

- **10 mln zł** dostała fundacja Ex Bono z Opola, z czego ok. 2 mln zł miały pokrywać koszty administracyjne – podczas kontroli okazało się jednak, że siedziba fundacji to prywatne mieszkanie w bloku, a osoby, które się tam znajdowały, nie miały pojęcia o istnieniu fundacji.

- **1,5 mln zł** przyznano Fundacji Mamy i Taty na program promujący życie rodzinne i dodatkowe **3 mln zł** – na kursy przedmałżeńskie.

- **2,5 mln zł** otrzymał Instytut Wymiaru Sprawiedliwości na badanie prześladowań chrześcijan w Polsce (analizowano artykuły prasowe, literaturę fantastyczną i... memy).

Wyniki kontroli są druzgocące dla Zbigniewa Ziobry i jego wiceministra Marcina Romanowskiego, który nadzoruje Fundusz. NIK zamierza złożyć 5 zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa. Trafia do prokuratury, na czele której stoi sam zainteresowany. (MLV)

Jak spisali się Polacy

Główny Urząd Statystyczny prowadził spis powszechny od początku kwietnia do końca września. Na tej podstawie oceni, kim są mieszkańcy Polski (spis obejmuje też cudzoziemców, osoby przebywające w kraju stałe lub tymczasowo), jaki jest poziom ich wykształcenia, gdzie pracują, czy mają problemy zdrowotne, stwierdzony stopień niepełnosprawności, z kim dzielą lokal lub dom, jakim językiem się w nim posługują itp. Taki obrazek powinien pomóc dostosować prawodawstwo do potrzeb. Liczba pytań w formularzu mogła się różnić, bo zależała od odpowiedzi. Niektóre kwestie – np. o wyznanie i intymne związki – można było przemilczeć, wybierając opcję „nie chcę odpowiadać na to pytanie”. Punktem odniesienia był stan na 31 marca 2021 r.

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań odbywa się co dekadę i jest obligatoryjny. Tegoroczna edycja była rocznicowa – sto lat temu spis odbył się pierwszy raz w niepodległej Polsce. W 2011 r. nowinką był formularz elektroniczny do samodzielnego wypełnienia, tym razem, też ze względu na pandemię, internet był na ogół pierwszym wyborem. Odmowa udziału w spisie grozi grzywną (do 5 tys. zł), a poświadczanie nieprawdy to ryzyko nawet dwu lat pozbawienia wolności. Przepisy te reguluje ustawa o statystyce publicznej. Zignorowanie „obowiązku statystycznego” jest wykroczeniem, urzędnicy wnioski o kary kierują na policję. Rachmistrzów obowiązuje z kolei „tajemnica statystyczna”; przed podjęciem pracy podpisują nawet przyrzeczenie.

Naruszenie tajemnicy grozi trzema latami więzienia, skorzystanie z danych dla własnej korzyści – pięcioma.

Czy Polacy spisali się dobrze? Mogli to zrobić przez internet, telefon lub osobiście, na ostatniej prostej „zapracowanych” przyjmowały też – niekiedy aż do północy – wybrane urzędy dzielnicowe. Jeśli przystąpili do formularza na ostatnią chwilę, mogli trafić na zajętą infolinię



albo przeciążony system. Trzeba wówczas dobrze udokumentować, że mimo ponawianych prób nie udało się nam spisać (przyda się zrzut ekranu). Jeśli rachmistrz do nas dzwonił, ale odmówiliśmy udzielenia informacji, przekonani, że zrobimy to online – może to być traktowane jako uchylenie się od obowiązku. Waga przewin jest różna – spóźnienie nie obciąża tak bardzo jak stanowcza odmowa udziału w spisie, choć na orzecznictwo w takich sprawach trzeba jeszcze poczekać. Niezrozumienie pytania czy niepełna odpowiedź nie jest okolicznością łagodzącą: wykroczenie popełnione nieumyślnie wciąż jest wykroczeniem, *ignorantia iuris nocet*. Wstępne wyniki spisu będą znane w styczniu 2022 r. (AŻ)

Praca dla emeryta

Rząd wprowadza pilotażowy projekt zatrudniania emerytów przez urzędy pracy. W myśl obowiązujących ustaw to niemożliwe, bo przepisy są tak skonstruowane, że po osiągnięciu wieku emerytalnego (60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn) następuje automatyczne wyrejestrowanie z bazy urzędu. Ale Powiatowy Urząd Pracy w Warszawie będzie przekonywał pracodawców, żeby zatrudniali również osoby na emeryturze. Siła argumentów jest duża i kryje się w pieniądzach oraz w sytuacji na rynku pracy. – *Prawda jest taka, że pracodawcy zgłaszają się do urzędów pracy głównie, kiedy potrzebują zatrudnić kogoś z dofinansowaniem. Stąd pomysł, żeby dopłacać również do stanowisk pracy dla emerytów.*



Oczywiście na zachętę – mówi jeden z autorów projektu.

Do każdego miejsca pracy PUP będzie dopłacał 1,5 tys. zł przez pół roku i 1,9 tys. zł przez dwa miesiące, jeśli ktoś zdecyduje się przyjąć emeryta na staż. Kwoty są wysokie, ale liczba miejsc niska. Dofinansowanych miejsc pracy ma być 50, staży – 80.

Ministerstwo Rodziny i Polityki

Spółecznej przeznaczyło na ten projekt 1,5 mln zł. Jak słychać, liczy się jednak kierunek, bo emeryci już od lat skarżyli się na dyskryminujące przepisy, które odcinały ich od ofert urzędów pracy, choćby w kwestii doszkolenia się albo zmiany kwalifikacji za rządowe pieniądze.

Jeśli pracodawcy przekonają się do zatrudniania emerytów, z dużym prawdopodobieństwem dojdzie do zmiany przepisów. W zawodach typu opiekunka do dziecka czy w gastronomii emeryci są coraz milej widziani. Zwłaszcza ci z dopłatą. (JULL)

Tuskizacja opozycji

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych



Rutyna i zmęczenie. Te słowa najlepiej opisują obecną kondycję polskich polityków. W przypadku znajdujących się już szósty rok u władzy działaczy PiS nie ma w tym niczego zaskakującego, bo tak zwykle wygląda tzw. syndrom drugiej kadencji, gdy staje się jasne, że opór materii zniweczył większość planów, a obawa przed utratą władzy i przykrymi tego konsekwencjami miesza się z coraz bardziej niebezpiecznymi pomysłami jej utrzymania. Dlatego właśnie z taką gorliwością ekipa Kaczyńskiego rzuciła się do wykorzystania kryzysu migracyjnego, wykreowanego przez Łukaszenkę. Wobec sondażowego fiaska Polskiego Ładu na Nowogrodzkiej uznano, że temat ten podbije słupki poparcia, a stan wyjątkowy na granicy wzmocni atmosferę zagrożenia i pozwoli na trwały powrót powyżej progu 40 proc., dający nadzieję na trzecią kadencję u władzy.

Rutyna i zmęczenie dały już jednak o sobie znać, co znakomicie pokazała słynna konferencja ministrów Błaszczaka i Kamińskiego, na której próbowali przekonać Polaków, że grozi nam inwazja nie tyle migrantów ekonomicznych, co zdegenerowanych terrorystów pragnących gwałcić dzieci i zwierzęta. To zaś skompromitowało narrację rządu bez porównania skuteczniej niż płomienne apele Agnieszki Holland i mogłoby spowodować osłabienie tego czynnika sprzyjającego PiS, gdyby nie fakt, że kryzys migracyjny potwierdził, iż rutyna i zmęczenie są jeszcze silniejsze po stronie opozycji.

Najpierw jej liderzy zmarnowali znakomitą okazję, aby wykonać jakąś wspólną akcję, uzasadniając zawieszenie dotychczasowej rywalizacji międzynarodowym charakterem kryzysu. Później zaś zajęli się – oczywiście każdy na własną rękę – krytykowaniem poczynąń władz, w sposób dowodzący wiary w to, że w Polsce wyborów się

nie wygrywa, ale wyłącznie przegrywa. Najbardziej gorliwym wyznawcą tego poglądu wydaje się Donald Tusk, który nawet nie próbuje udawać, że do zwycięstwa potrzebny jest jakiś program, tylko przekonuje, że wystarczy rozkołysać jeszcze mocniej niż przez minione sześć lat antypisowskie emocje, cierpliwie czekając, jak dziennikarze razem z prezesem Banasiem, wspierani przez TSUE, KE oraz żądających podwyżek przedstawicieli różnych grup zawodowych, skutecznie podmyją poparcie dla rządu, a ostateczny cios wymierzy inflacja.

Taka taktyka, inspirowana znanym chińskim przysłowiem („Usiądź na brzegu rzeki i poczekaj, aż trupy twoich wrogów spłyną z prądem”), ma oczywiście wiele zalet, wśród których na czoło wysuwa możliwość oszczędzania sił i środków. Zarówno tych intelektualnych, jak i finansowych.

Zmęczenie i rutyna udzieliły się też większości twardego elektoratu opozycji, który zdaje się nie oczekiwać już jakichś nowych pomysłów swoich liderów, a jedynie coraz bardziej dosadnych epitetów pod adresem PiS. Taki trend potwierdza przepływ poparcia od próbującego tworzyć jakąś nową propozycję programową Ruchu Hołowni ku PO, jaki nastąpił po powrocie Tuska. Ten proces tuskizacji opozycji ma wszakże jedną potencjalnie niebezpieczną dla niej konsekwencję. Dotyczy ona kurczącego się wprawdzie, wprost proporcjonalnie do postępów procesu polaryzacji, ale wciąż liczącego jeszcze kilka procent niezdecydowanego centrowego elektoratu. Tworzą go obywatele, którzy zanim oddadzą głos na opozycję, chcieliby w bodaj w dużym przybliżeniu dowiedzieć się, czy jej liderzy potrafią choćby pozorować współpracę oraz jakie mają pomysły na rozwiązanie najważniejszych problemów: od pisowskiej ekipy w TK zaczynając, na inflacyjnej gangrenie kończąc. O naprawieniu sytuacji w sądownictwie, szkolnictwie czy służbie zdrowia już nie wspominając. Jeśli żaźeni tuskizacją opozycji zostaną w dniu wyborów w domach, to PiS może zrealizować marzenie o trzeciej kadencji.

Co robi minister Wójcik

Mija rok, odkąd **Michał Wójcik**, wiceprezes Solidarnej Polski, został powołany do rządu na ministra bez teki. Do jego obowiązków należy podejmowanie zadań związanych z obroną praw obywatelskich oraz ochroną tożsamości europejskiej. Ma też monitorować dobre rozwiązania dotyczące przeciwdziałania nieprawidłowościom w tych dwóch obszarach w instytucjach publicznych (w szczególności w państwach UE). Nie do końca idzie to w parze z osobistymi i politycznymi przekonaniami ministra, które choćby ostatnio wyraził na Twitterze: „Radni Sejmu Małopolskiego nie zgodzili się na uchylenie uchwały dotyczącej zakazu ideologii LGBT. Nie ulegli presji brukselskich urzędników. Jestem z Was bardzo dumny!”.

W KPRM do pomocy ma cały Departament Praw Obywatelskich i Tożsamości Europejskiej. Jednak do tej pory



nie doprowadził do uchwalenia choćby jednej ustawy, a w opracowaniu, jak sam przyznaje, ma pięć – m.in. projekt ustawy o ochronie zwierząt, o którym jednak nic nie wiadomo. Michał Wójcik, odpowiadając niedawno na interpelację poselską w sprawie swojej rządowej działalności, napisał:

„zajmuję stanowiska w kwestiach dotyczących m.in. praw osób LGBT, zasady praworządności oraz innych zagadnień z zakresu tożsamości europejskiej”. Dodaje, że przygotował „projekt uchwały Sejmu w sprawie ochrony języka polskiego jako elementu europejskiej tożsamości kulturowej oraz projekt ustawy o zakazie adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe”. Nie wiadomo, kto jest ojcem tego projektu, bo w marcu tego roku Zbigniew Ziobro ogłosił na konferencji prasowej, że „wspólnie z ministrem Michałem Wójcikiem Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt, zgodnie z którym pary homoseksualne nie mogą adoptować dzieci”.

Po roku skromnej działalności ministra Wójcika można stwierdzić, że zajmuje się tym, czym rzecznik praw obywatelskich, pełnomocnik rządu ds. praw człowieka oraz pełnomocnik ds. równego traktowania (pobiera za to ok. 12 tys. zł pensji). Jego stanowisko jest więc zbędne, ale nie o użyteczność tu chodzi, a o zaspokojenie apetytu ziobrystów. (DĄB.)

Setny, pierwsza i pretendentka

Ugrupowanie rządzące Japonią nie skorzystało z okazji i nie skończyło z męskim monopolem na stanowisku premiera. Partia Liberalno-Demokratyczna wyłoniła nowego przywódcę, co – biorąc pod uwagę większość LPD w Parlamencie – automatycznie przełożyło się na wybór szefa rządu. Po kilkunastu latach przerwy do rywalizacji o przywództwo stanęły kobiety, od razu dwie, które rzuciły wyzwanie dwóm mężczyznom. Cała czwórka miała podobnie poważne, liczone w dekadach doświadczenie parlamentarne lub ministerialne, ale jak zwykle wygrał facet. I – jak każe tradycja – przedstawiciel męskiej politycznej dynastii, wnuk i syn deputowanych do parlamentu.



Fumio Kishida był rekordowo długo ministrem spraw zagranicznych, a teraz zastąpi Yoshihidę Sugę, który rządowi i partii przewodził ledwie przez rok. Suga przeprowadził kraj przez trudne momenty pandemii i letnie, niepopularne wśród Japończyków, igrzyska. Kishida jest setnym premierem Japonii (na ich liście kobiet brak), i też uchodzi raczej za nudziarza, ma poprowadzić LPD do zwycięstwa w październikowych wyborach, po których prawdopodobnie skieruje konserwatywną partię nieco w lewo.

Żadnych wyborów ani żadnego politycznego doświadczenia nie potrzebowała za to profesor geologii **Najla Bouden Romdhane**, desygnowana właśnie na nową premierkę Tunezji i pierwszą szefową



rządu w świecie arabskim. Przy tej rewolucyjnie postępowej nominacji trzeba jednak postawić sporą gwiazdkę. To pomysł prezydenta Kaisa Saieda, który – jak stwierdził – w ten sposób chce uhonorować tunezyjskie kobiety. Cieniem na operacji kładzie się przeprowadzony jego zamach stanu. Dwa miesiące temu, pod hasłem ratowania Tunezji przed pogrążeniem się w korupcyjnej degrengoladzie, zawiesił parlament i przejął pełnię władzy, konstytucję stosuje wybiórczo, a komfort zapewnia sobie przedłużaniem stanu wyjątkowego. W tych warunkach Romdhane będzie miała mniej władzy niż poprzedni premierzy.

Drogą, z jakiej nie skorzystała Japonia i o niebo bardziej demokratyczną niż w Tunezji, władza feminizuje się w Szwecji. Niby takie progresywne społeczeństwo, a dopiero pojawiają się okoliczności pozwalające wreszcie kobiecie stanąć na czele gabinetu. Na listopa-



dowym kongresie rządzącej Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej z szefowania jej ustąpi dotychczasowy premier Stefan Löfven. Zastąpi go – jest jedyną kandydatką – minister finansów **Magdalena Andersson**, wszechstronnie wykształcona ekonomistka po studiach w Sztokholmie, Wiedniu i na Harvardzie. Przy czym socjaldemokraci nie mają stabilnej większości w rozdrobnionym parlamencie, więc uzyskanie wotum zaufania dla rządu Andersson będzie wymagało starannych targów z mniejszymi koalicjantami. Reszta krajów skandynawskich znacząco wyprzedza Szwecję. Norwegia na pierwszą premierkę czekała do 1981 r., Finlandia do 2003 r., Islandia do 2009 r., a Dania do 2011 r.

Puszka Pandory

Blisko 12 mln dokumentów i 600 dziennikarzy ze 117 krajów – Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) ogłosiło w weekend swoją największą dotąd publikację: Pandora Papers. Opiera się ona na informacjach, które wyciekły z firm doradztwa finansowego i dotyczą głównie ludzi władzy oraz ich skrywanym majątków. Na liście jest 35 obecnych lub byłych liderów państw oraz ponad 300 ministrów i urzędników, którzy – korzystając z tzw. rajów podatkowych – ukrywali swoje majątki oraz unikali ich opodatkowania.

Dziennikarze odkryli m.in., że w 2003 r. ludzie powiązani z Władimirem Putinem kupili w Monako nieruchomość wartą ponad 4 mln dol. I przekazali ją kobiecie, która kilka

tygodni wcześniej urodziła w Petersburgu dziecko, którego ojcem prawdopodobnie jest prezydent Rosji. Z kolei król wspieranej zachodnimi pieniędzmi Jordanii, Abdullah II, według Pandora Papers, kupił w Wielkiej Brytanii i USA 15 nieruchomości wartych w sumie 70 mln funtów – wszystko za pośrednictwem spółek typu offshore zarejestrowanych na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Podobne transakcje – nie zawsze nielegalne, ale pomagające ukryć majątek – mieli przeprowadzić m.in. prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełeński, premier Pakistanu Imran Khan, były szef brytyjskiego rządu Tony Blair, rodzina prezydenta Azerbejdżanu İlhami Alijewa, a także polski biznesmen i właściciel InPost Rafał Brzozka. Pandora Papers najszybciej

może uderzyć w premiera Czech Andrieja Babisza, który w najbliższy weekend staje do wyborów parlamentarnych (czytaj więcej na s. 54). Dziennikarze ujawniają, że w 2009 r. za sumę 15 mln euro niewiadomego pochodzenia i za pośrednictwem spółek z rajów podatkowych kupił 16 nieruchomości na Łazurowym Wybrzeżu, o czym nie powiadomił w żadnej z deklaracji majątkowych.

Autorzy Pandora Papers wskazują, że większość tych cichych transakcji dotyczy jednak nieruchomości w Wielkiej Brytanii. Według nich świadczy to o porażce brytyjskiego rządu, który wielokrotnie obiecywał stworzenie specjalnego rejestru właścicieli nieruchomości należących do spółek offshore. A stworzył na Wyspach „skarbiec szemranych bogaczy”.



Tydzień z przytupem

Przypadające na 1 października święto narodowe otwiera „złoty tydzień”, jak się go tu nazywa, siedmiodniowy okres urlopowy, kiedy całe Chiny ruszają w drogę, a dla reszsy przyjezdnych pracowników jest to okazja, aby zagościć w domu. To też dobry test optymizmu konsumenckiego społeczeństwa. W tym roku, jak się szacuje, będzie 650 mln świątecznych podróźników, to nieźły wynik w porównaniu z 637 mln przed rokiem, ale o 20 proc. mniej niż w dobrych przedcovidowych czasach. Przy okazji podano, że w pełni zaszczepiono już 1,05 mld Chińczyków, a wydawanie pieniędzy i rozkręcanie koniunktury wskazywane jest w państwowych mediach niemal jako patriotyczny obowiązek. Lokalne władze przygotowały bony do wykorzystania w marketach i restauracjach, ale ludzie zdecydowali się raczej zaciskać pasa. Wielu spłaca ciężkie kredyty mieszkaniowe i samochodowe, a zewsząd dociera wiele niepokojących sygnałów.

Przy świątecznym stole niewątpliwie będzie się rozmawiać o wyłączeniach prądu, które dotyczą odbiorców publicznych, zwłaszcza w północno-wschodniej przemysłowej części kraju, ale także wielu prywatnych użytkowników. Kryzys energetyczny ma szereg przyczyn, związanych



Dworzec kolejowy w Hangzhou.

m.in. z rynkiem węgla, ale również tych natury optymistycznej: kiedy pandemia ustępuje, wszyscy ruszyli odrabiać zaległości i znów chcą, żeby „fabryka świata” ruszyła pełną parą. Według analizy Goldman Sachs z powodu niedoborów energii elektrycznej ucierpiało 44 proc. chińskiej produkcji przemysłowej.

Inny gorący temat to kłopoty Evergrande, giganta deweloperki, który wyraźnie przeinwestował i stanął przed widmem upadku. Jest aktualnie zaangażowany w 1,3 tys. wielkich projektów deweloperskich w 280 chińskich miastach, a tysiące mieszkań, jeszcze na papierze, zostało opłaconych z indywidualnych kredytów. Zderzają się tu dwie szkoły: jedna uważa, że moloch jest „za duży, żeby upaść”, że państwo pomoże, bo zbyt poważne byłyby konsekwencje

(wśród wierzących jest 171 chińskich banków); ale z kolei w prowadzonej aktualnie kampanii przeciw choremu rozrostowi wielkich prywatnych korporacji może przydałby się taki kontrolowany upadek, jako element odstrasząco-wychowawczy.

Na „złoty tydzień” odkładane są najatrakcyjniejsze premiery filmowe. W tym roku jest „Bitwa nad jeziorem Changjin”, najdroższa produkcja chińskiego kina, z udziałem 70 tys. statystów. Przedstawia epizod wojny koreańskiej z listopada 1950 r., kiedy w skrajnie ekstremalnych warunkach żołnierze chińskiej ochotniczej armii rozbili przyczółki broniące przez amerykańskich marines. Odniesienie do narastającego współcześnie konfliktu amerykańsko-chińskiego jak najbardziej uzasadnione. A frekwencja murowana.

Szarpanina Bidena

W iadomo było, że prezydentowi Bidenowi trudno będzie rządzić w obliczu silnej opozycji Republikanów w Kongresie, gdzie Demokraci mają minimalną przewagę. Liczono jednak, że przeforsuje przynajmniej ustawy budżetowe, uchwalane zwykłą większością głosów. Tymczasem okazało się, że ma największe kłopoty z własną partią, w której lewe skrzydło nie może się dogadać z umiarkowanym centrum. W ubiegłym tygodniu lewicowi Demokraci zablokowali w Izbie Reprezentantów ustawę o naprawie infrastruktury – uchwaloną już w Senacie z poparciem części Partii Republikańskiej – domagając się przegłosowania najpierw ustawy o pomocy dla rodzin i walce ze zmianą klimatu. Na przewidziane w tej ostatniej wydatki 3,5 bln dol. nie godzą się jednak konserwatywni Demokraci z senatorami Manchinem i Sinemą na czele, a ponieważ w Senacie demokratyczna większość wisi na jednym głosie (wiceprezydent Harris), ich sprzeciw wystarczy, by impas trwał.

Biden dawno obiecał postępowcom, że podpisał ustawę o infrastrukturze tylko razem z ustawą o wydatkach socjalnych. Ostatnio próbował przekonać obie strony do kompromisu, ale nic nie wskórał. Umiarkowani czują się zawiedzeni, że silniej nie przycisną lewicy, ale ta rośnie w siłę i Biden, starając się nie dopuszczać do rozłamu, popiera ich postulaty, do których dawniej nie był przekonany, jak płatne urlopy macierzyńskie czy darmowa nauka w college'ach publicznych.

Problem w tym, że jeśli Kongres nie uchwali w tym roku wspomnianych ustaw, w następnym będzie trudniej, bo to rok wyborczy. A jeśli Biden zostanie z niczym, będzie to katastrofa dla niego i jego partii. Udało mu się na razie przepchać tylko plan pomocy ofiarom pandemii, ale przepadły projekty reformy imigracji, powstrzymania Republikanów przed restrykcjami wyborczymi godzącymi w demokratyczny elektorat i ukrócenia nadużyć policji, a sposób wycofania się z Afganistanu podważył zaufanie do jego kompetencji. Biden ma złą passę, co odbija się na notowaniach, zbliżonych do słupków Trumpa.

NATO wraca na granicę Kosowa

W szystko przez rejestracje samochodowe. Jeszcze dziesięć lat temu na terenach Kosowa zamieszkałych przez Serbów trudno było znaleźć samochód z tablicami rejestracyjnymi: Serbowie traktowali je jako okupacyjne i odmawiali ich montowania. Jeździli albo na starych, często jeszcze jugosłowiańskich, albo żadnych. Później, gdy Serbia (ta właściwa), starając się do pewnego stopnia ignorować istnienie kosowskiego państwa, zaczęła wydawać również rejestracje dla Kosmetu (oficjalna nazwa spornego regionu) – Serbowie zaczęli znów jeździć z tablicami. Jeśli miało się coś do załatwienia w albańskojęzycznej części Kosowa, lepiej było przykręcać numery Republiki Kosowa. W podobnej sytuacji byli obywatele Republiki Kosowa, którzy poczuli się do lojalności wobec tego państwa, i chcieli przejechać przez Serbie: w tym wypadku musieli przykręcać do aut rejestracje starego wzoru, wydawanego jeszcze przez UNMIK (misję ONZ w Kosowie).

Pod koniec września Kosovo zakończyło jednak wydawanie akceptowanych (od biedy) przez Serbów UNMIK-owskich tablic. A jednocześnie zapowiedziało, że nie będzie na swoje terytorium wpuszczać aut na rejestracjach serbskich. Serbowie zawrzeli: w Kosowie Północnym ustawiono na granicy blokadę, na co Prisztina zareagowała wysłaniem na miejsce uzbrojonych po zęby sił specjalnych, a Belgrad – wysłaniem na granicę helikopterów i myśliwców. Serbowie wściekali się, że decyzja Prisztiny może kosztować ich żołnierzy w Kosowie bardzo wiele: tak finansowo, bo uderza w wymianę handlową, jak i po prostu życiowo. Kosowscy Albańczycy tłumaczyli, że odpowiadają Serbom tylko pięknym za nadobne: oni przecież na własnych rejestracjach nie mogli wjechać do ich kraju od 10 lat.

Na szczęście, dzięki mediacji UE, porozumiano się. Nie trzeba już będzie zmieniać tablic, wystarczy przyklejać na granicy nalepki. Inną zmianą jest to, że sytuacja powróciła do tej z początków kosowskiej niepodległości – granic znów strzec będą żołnierze NATO, m.in. Polacy.